Zeszyt 24. Lwów dnia 30. Sierpnia 1879. **Rok I.**

STRZECHA OJCZYSTA.

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

PRENUMERATA	WYCHODZI	W. MANIECKI
kwartalnie 1 złr. 50 ct. = 3 mark.	dnia 10go, 20go i 30go każdego miesiąca.	Wydawca i odpowiedz. za Redakcją

Prenumeratę i inseraty przyjmuje księgarnia F. H. Richtera, plac Marjacki. hotel europejski.

ZŁAMANE SERCA.

Powieść

PRZEZ AUTORA „CHORÓB GALICJI.“

XVII.

(C. d.) Z przyjazdem Juljana, w małej kamieniczce pod Wysokim Zamkiem od razu weselej się zrobiło. Przesilenie, które dr. Ragner przepowiedział, nastąpiło w rzeczy samej o północy i wypadło dla chorego nad wszelki wyraz szczęśliwie. Gorączka zaczęła się zmniejszać, przytomność wracała. Pan Wybicki, zobaczywszy Juljana, ucieszył się nim jak własnym synem, chociaż ani się domyślał, co zaszło między nim a Wandzią. Juljan spędzał u nich długie godziny, Wandzia zaś była wesoła, uśmiechnięta, niepodobna do tej, która u łoża ojca chorego była już blizką rozpaczy. Taki to wpływ zbawienny wywarła na nią miłość!

Kochali się, byli weseli, szczęśliwi, chociaż na pozór mogło się było zdawać, że uczucie, które ich serca wypełniało, właściwie nie było miłością. Kto przywykł w miłości widzieć jakieś pragnienie nieokreślone, jakąś pieśń pełną marzeń, tęsknoty, nawet skargi, komu zdaje się, że ci, co się kochają, muszą koniecznie wzdychać, źle wyglądać i nic nie mówiąc wpatrywać się w siebie całemi godzinami, temu miłość naszych młodych przyjaciół mogła by się wydać zbyt spokojną, nawet prozaiczną. Ale kto sam mając serce zdrowe, silną wolę i wyobraźnię trzeźwą, nie zaś chorobliwie rozbujałą, kochał się miłością zdrową, wolną od tęsknic nerwowych, ten widząc Wandzię i Juljana musiał doznać miłego wrażenia, boć tylko taka miłość jak ich, jest prawdziwie piękną. Marzenia z wiatrem ulatują, a biada miłości, której treść od wiatrów zawisła.

Ona go tysiąc razy na dzień nie pytała, czy ją kocha, ani on co kilka minut nie potrzebował zaprzysięgać swojej miłości; za to w każdym czynie, każdem spojrzeniu, każdem nawet słowie powiedzianem o rzeczy na pozór najobojętniejszej, czuć było ich miłość wzajemną. Oni o to nie pytali, czego byli pewni.

Ojciec ledwie z łoża się podźwignął, dowiedział się o wszystkiem i z radości aż się spłakał. Patrząc na tych dwoje ludzi tak młodych, pięknych, a tak dla siebie stworzonych, doznawał rozkoszy niepojętej, jakby jemu samemu wróciły najpiękniejsze lata młodości, pełne nadziei i zachwytu. W córce i tym, którego wkrótce miał swoim synem nazwać — on się odrodził. Że Juljan miał Wandzię poślubić, o tem nikt nie wątpił. Ich związek zawisł był jedynie od stosunków materjalnych, które Juljan potrzebował wpierw na dobry tor wprowadzić, by w pierwszych zaraz dniach pożycia małżeńskiego, kiedy to spokój najwyższy jest rozkoszą największą, nie był narażonym na nieprzyjemną walkę o chleb powszedni.

Materjalne położenie pana Wybickiego wprawdzie się nie polepszyło, ale odkąd Juljan się zjawił, nie wiedział on przynajmniej co bieda i na przyszłość nie potrzebował się jej lękać. Mimo, że Juljan postępował z całą oględnością, właściwą duszom szlachetnym, umiał wszystkiem tak pokierować, że nie obrażając ojca swojej narzeczonej, niósł mu pomoc skuteczną. Pośrednikiem między nimi był Storch. Występując ciągle w roli kupca, wziął w komis wszystkie obrazy pana Wybickiego i dał mu taką zaliczkę, że ten dłuższy czas mógł z niej żyć przyzwoicie. Później spodziewał mu się dać stosowne zajęcie. Jeżeli przez wzgląd na pana Wybickiego, pośrednictwo

Storcha było niezbędne, to zdaje nam się, że dla Wandzi było by ono całkiem zbyteczne. Juljan nie był by się nigdy ośmielił ją zapytać, ażali przyjmie od niego pomoc materjalną, lecz gdyby był nawet wystąpił z taką propozycją, pewnie by mu nie odmówiła. Czemu? Bo przed tym, którego już dziś uważała za najlepszego swego przyjaciela, a który niebawem miał zostać jej mężem, nie potrzebowała wstydzić się swego ubóstwa. Wszak Juljan wiedział, że ona jest ubogą, a jeżeli wkrótce miała podzielać jego trudy, radości i smutki, jak nie mniej wspierać go w pracy, więc czemuż teraz miała by odtrącać jego rękę pomocną? O! tak, kobieta kochająca przyjmie bez wstydu pomoc od tego, kogo ukochała. Wandzię obraziła pomoc, którą jej chciał nieść Czudek, lecz potrzebując, była by ją bez wahania przyjęła od Juljana. Takiem Bóg stworzył serce kobiety!

Pan Czarkowski nie omylił się, adwokatowi kłam zadając. Długo zostawał on pod wpływem tego człowieka, wierząc w jego uczciwość i ani przypuszczając, by to mógł być hipokryta. W umyśle staruszka rozjaśniło się dopiero wtedy, gdy Czudek z całą nikczemnością człowieka moralnie upadłego, począł czernić Juljana. Bądź co bądź, związki krwi mają swoje prawa, o których zapominają chyba źli ludzie. Siostrzeniec był w każdym razie bliższym panu Czarkowskiemu, niżeli adwokat, to też jak długo Czudek wyrażał się o Rossowskim dosyć jeszcze oględnie, pan Czarkowski ufał mu, nawet za jego grzeczność wygórowaną miał dlań sympatję; lecz odkąd spotwarzając Juljana, zaczął truciznę wlewać w żyły schorowanego starca, ten zapytał sam siebie: dla czego on go czerni? W kilka minut po tem zapytaniu w umyśle pana Czarkowskiego było jasno, tak jasno, jak może nigdy przedtem, w jednej bowiem chwili pojął, że Czudek jest człowiekiem złym i nikczemnym. O prawości zaś Juljana ani wątpił. Ludzie cierpiący na zmysłów pomięszanie, miewają czasem błyski jaśniejsze, chwile przytomności, w których wiedzą, że żyją i rozumieją, w jakim się stanie znajdują; umysły zdrowe, ale w ciemnościach błędów krążące, miewają chwile, w których nagle ich myśl wchodzi na drogę prawdy, i jeżeli wtedy uchwycą się tej kotwicy, jaką sam Bóg rzucił im z wysoka, a którą religja zowie objawieniem, nie zbłądzą więcej i drogą prostą, acz czasem ciernistą, pójdą do źródła prawdy. Taką chwilę jasną miał pan Czarkowski, a że kochał siostrzeńca i pragnął go widzieć zacnym człowiekiem, więc nie popadł w błędy dawniejsze, lecz oderwawszy się od Czudka i jego wpływów, zawołał groźno:

— Kłamiesz!

Nie długo trwało, a przekonał się, że sprawiedliwie potępił adwokata. Juljan wychodząc od państwa Wybickich, wziął z sobą Storcha, który rad nie rad musiał go do domu odprowadzić. Znając wuja drażliwość i bojąc się, by ten nie wziął mu za złe, iż wpierw pospieszył do ludzi obcych, a później do niego, zamierzał w obecności Storcha opowiedzieć mu całą prawdę, aby tem łatwiej zyskać jego przebaczenie. Chory, któremu po wyjściu Czudka prędko się polepszyło, ujrzawszy wchodzącego Juljana, zmarszczył brwi, jak by niemiłego doznał wrażenia, widział bowiem, że Czudek nie skłamał, mówiąc, iż Juljan wrócił z Wiednia; wszakże zaledwie młody człowiek, ucałowawszy rękę wuja, z wylaniem znamionującem jego poczciwą i otwartą naturę, począł opowiadać, co go właściwie do Lwowa tak nagle sprowadziło, przyczem odwoływał się ciągle na Storcha, wuj wypogodził oblicze i słuchał go z prawdziwą przyjemnością. Gdy mówić skończył, w oczach starca schorzałego, pojawiły się dwie łzy, które spadły na głowę Juljana, całującego znowu jego dłoń wyschniętą.

— O! ja wiem, żeś ty poczciwy... ja o tem ani chwili nie wątpiłem! Jeżeli ci się ta panienka podobała, żeń się... niech ci Bóg błogosławi. Wybiccy dobra rodzina, poczciwa rodzina, córka takiego domu będzie dobrą żoną i matką. Niech cię nie znam Julku, jakiś ty porządny, że się chcesz żenić! Przy was i mnie będzie może lepiej i weselej. Niech cię nie znam! jak mi się to podoba. Chodź, chodź, niech cię raz jeszcze uściskam.

I ściskał siostrzeńca jak ojciec najlepszy i był zdrowszym na ciele, a weselszym na duchu. Szczególny bo też był człowiek ten pan Czarkowski! Cały świat myślał, że był skąpym, tymczasem okazało się, że był tylko oszczędnym; ktokolwiek bliżej go poznał, nazywał go samolubem, a tymczasem Juljana ukochał jak syna własnego; że był prawym, o tem nikt nie wątpił, a mimo to Juljanowi ani słowem nie wspomniał, co zaszło między nim a Czudkiem. Nawet wtedy, gdy siostrzeniec opowiadał niegodziwe postępowanie adwokata z panną Wandą, wuj nie potępiał go wcale i uporczywie o nim milczał. Jeżeli się nie mylimy, pochodziło to z tąd, że jak wszyscy ludzie chorujący na uczoność, tak i pan Czarkowski był dosyć zarozumiałym, zwłaszcza na punkcie znajomości ludzi, skutkiem czego nieraz utrzymywał, że sąd jego o ludziach jest zawsze sprawiedliwym. Ponieważ Czudka, za deklamowanie klasyków bardzo niegdyś lubił i przed wszystkimi chwalił, więc teraz rozmyślnie o nim milczał. Chwalić go więcej nie mógł, ganić nie chciał, aby nie podkopać swojej nieomylności — najlepszą zatem taktyką było nic nie mówić. Zresztą wiedział aż nadto dobrze, że adwokat nie pokaże się więcej w jego domu, na cóż więc miał dalej zajmować się jego osobą.

Gdy pan Wybicki o tyle przyszedł do zdrowia, że mógł wychodzić, Juljan przyniósł mu bilet swego wuja, skreślony pismem bardzo nieczytelnem, w którym tenże prosił narzeczoną swego siostrzeńca i jego teścia przyszłego, by, jeżeli to uznają za stosowne, raczyli go odwidzieć. Pan Wybicki, grzecznem przeproszeniem człowieka tłumaczącego się chorobą, że pierwszy nie może mu złożyć swego uszanowania, był bardzo ujęty, a Wandzia była tem uszczęśliwiona. Ona wszystko kochała, co Juljan ukochał — ona lgnęła już do wszystkich, którzy mu byli bliscy krwią albo przyjaźnią.

Przy łożu chorego, węzły łączące tych czworo ludzi jeszcze bardziej się ścieśniły. Pan Czarkowski znalazł Wandzię prześliczną, miłą i dobrą, a jej ojciec miał według jego twierdzenia, mimo wzrostu małego, wyglądanie hetmańskie; oni zaś we wuju Juljana znaleźli człowieka uprzejmego i rozumnego, w którym nie było nic z dziwaka. Pan Czarkowski, odkąd go choroba tak gwałtownie zwaliła, nie męczył już ani siebie, ani drugich poetami klasycznymi, co wyszło na jego korzyść. Mól książkowy może być rzadkością, powiemy więcej nawet: zjawiskiem fenomenalnem, zasługującem na podziwienie, ale człowiekiem godnym miłości będzie tylko ten, który wystrzegając się jednostronności, umie w swojem *ja* złączyć harmonijnie dobro, prawdę i piękno. Anglik nazywa takiego dżentelmenem; my moglibyśmy mu dać nazwę chyba człowieka rycerskiego. Pan Czarkowski mimo wieku, mimo długoletnich nałogów i cierpień teraźniejszych, usiłował w obec swoich gości zachować się z całą rycerskością i tem tak ich sobie zjednał, że go od razu pokochali.

Gdy się rozstawali, poprosił Wandzię i Juljana, aby się zbliżyli do jego łóżka. Młodzi ludzie, odgadując wolę chorego, padli na kolana, poczem on złożywszy na ich głowach swoje ręce, błogosławił im gorąco, dopóki łzy słów mu nie zalały. Z dziwną w duszy błogością podnieśli się z ziemi, a stojący obok pan Wybicki, nie mogąc swych uczuć powstrzymać, padł w objęcia chorego i długa chwila ubiegła, zanim się rozłączyli.

Dr. Czudek nie pokazał się więcej u swojego klienta, co nikogo nie uderzyło. Pan Czarkowski wiedział, dla czego adwokat unika jego domu, Juljan przypuszczał, że tylko z nim boi się spotkać, a Wojciech był najpewniejszy, że to jego ostatnia pogróżka wypłoszyła na zawsze tę figurę cicho chodzącą, której tak nie lubił.

Dr. Ragner pozostał nadal lekarzem pana Czarkowskiego. Ani chory, który był zadowolony z jego pieczołowitości, ani też Juljan, który mu zawdzięczał ocalenie pana Wybickiego, nie chciał go się pozbyć; owszem obadwa byli dlań dobrze usposobieni, podziwiając jego takt nadzwyczajny. Mimo, że Czudek nie przychodził, dr. Ragner nigdy o nim nie wspomniał, jakby już nie był między żyjącymi. Widocznie nie chciał nikogo drażnić. Taki takt w postępowaniu zasługiwał na uznanie.

Narzeczeni bywali w teatrze, na koncertach, a ilekroć pogoda sprzyjała, wychodzili z ojcem na przechadzkę. Tak piękni i młodzi ludzie zwracali na siebie ogólną uwagę, to też niejednokrotnie o uszy Wandzi obijały się słowa pochlebne:

— Prześliczna para!

Pewnego dnia, minąwszy ulicę Pojezuicką, a dzisiejszą Jagiellońską, zmierzali właśnie ku Wałom, by jak według zwyczaju potem przez Rynek iść ku domowi, gdy Wandzia nagle za ramię Juljana szarpnęła. Juljan stanął i ze zdziwieniem spojrzał na narzeczonę.

— Co się stało? — zapytał, widząc, że ona uporczywie wpatruje się w jakiś punkt na placu św. Ducha.

Juljan puścił wzrok tym samym śladem. Po drugiej stronie Wałów stał jakiś mężczyzna wzrostu słusznego, ale kołnierz od paletota tak miał wysoko podniesiony, że niepodobieństwem było, dobrze mu się przypatrzeć. Postrzegłszy, że go śledzą nasi znajomi, skinął palcem na dorożkarza, który stał na rogu Wałów, wsiadł i odjechał w kierunku placu Marjackiego.

— Zdawało mi się — odpowiedziała Wandzia — że widziałam jednego z naszych dawnych znajomych... ale nie, to przywidzenie... Czy dałby ojczulek wiarę — dodała obracając się do ojca, który jak według zwyczaju szedł z głową ku ziemi pochyloną — że zdawało mi się, jak gdybym widziała kogoś, co razem z nami był w Indjach.

— W Indjach? Żartujesz Wandziu.

— Bynajmniej! Chwilę nawet byłam pewną, że widziałam sir Wiliama Ellington.

Pan Wybicki spojrzał na córkę takiem okiem, jakby się lękał, czy jej się przypadkiem w głowie nie pomięszało.

— Sir Wiliam z nad Gangesu, tu nad Pełtwą? Otóż to loika!

— A przecie ojczulku i myśmy byli nad Gangesem, a tymczasem jesteśmy dziś nad Pełtwą — odpowiedziała Wandzia z uśmiechem.

— Otóż to loika kobieca! — szepnął ojciec do siebie, a potem głośniej dodał: — Myśmy wrócili do swojego kraju, a on Anglik! Cóż by on tu robił? Gdzie loika!

— Ależ ja wiem ojczulku, że to być nie może. Przywidzenie, nic więcej.

Na tem skończyła się rozmowa.

XVIII.

Dr. Czudek chodził po swoim salonie w najgorszym humorze. Chmury były na jego czole, chmury na ustach i w spojrzeniu, chmury wreszcie na resztkach jego włosów, które bezładem, w ja-

kim się znajdowały, świadczyły o wielkiej burzy, szarpiącej umysł i wnętrzności ich właściciela. Adwokat nie pamiętał, ażali kiedy w życiu był tak zdenerwowany. Co kilka godzin uciekał się do morfiny, lecz w tym dniu jakoś i ona nie oddawała mu dobrych usług. Pragnął snu — tymczasem ledwie drzemał; szukał spokoju — tymczasem gorączka nerwowa trzęsła nim jak w febrze.

Że był w takiem usposobieniu, wcale się nie dziwimy. Już trzy tygodnie upłynęły od owego dnia feralnego, kiedy to oba jego kołnierze, sukienny i moralny, zostały dość jawnie znieważone, a jeszcze nie obmyślił zemsty. Czudek nie należał do ludzi, którzy umieją przebaczać. Przebaczenie nazywał on sentymentalnością, czemś, przeciw czemu buntowało się jego sumienie adwokackie, a chociaż nie był żydem, chętnie wyznawał przepisy Starego Testamentu, mówiące o odwecie. Jeżeli mamy prawdę powiedzieć, Czudek szedł jeszcze dalej, bo podczas gdy Stary Testament wypowiada jako zasadę: „Ząb za ząb, oko za oko“ — on, gdyby szło o jego ząb, kazał by przeciwnikowi wyrwać za jeden, przynajmniej pięć zębów, a za jedno oko, uciąć całą głowę. O! dr. Czudek był bardzo mściwym, i jeżeli czego teraz żałował, to jedynie, że los mu nie pozwolił być w jednej osobie oskarzycielem, świadkiem, sędzią i wykonawcą wyroku. O! jak by on się wtedy zemścił!

A zemścił by się najpierw na Wandzi, że go odepchnęła i że w jej oczach został zdeptany; potem na jej ojcu, że ma taką córkę; na Rossowskim, że mu zabrał tę, którą za swoją poczytywał i w dodatku jeszcze go znieważył; na Storchu, że Juljana o wszystkiem uwiadomił, na panu Czarkowskim, że się poznał na jego wartości; na Wojciechu, że pogróżką wypędził go z sypialni chorego, nakoniec na Frani, że biegnąc za nim z wodą, a nie mogąc go dopędzić, posłała mu kilka nie bardzo pięknych przezwisk i nie zbyt miłych życzeń. Jakie kary dla nich by wymyślił, sam jeszcze nie wiedział, ale że były by długie i ciężkie, za to my, znając oddawna pana adwokata, śmiało ręczyć możemy.

Chodził, z sobą rozmawiał, niekiedy stawał przy oknie, zkąd piękny był widok na plac Marjacki, na którym jak robaczki świętojańskie liczne lampy płonęły, przykładał czoło do szyby zimnej i ponuro w przestrzeń się wpatrywał; to znowu zaczynał palcami wybębniać na szybie jedną z powszechnie znanych aryjek Offenbacha i aby się odurzyć, w takt tego akompaniamentu nucił sobie pod nosem.

Było już dosyć późno, gdy w przedpokoju zadzwoniono. Snać gospodarz kogoś się spodziewał, bo cwałem wybiegł i sam drzwi otworzył. Służący wyszedł był do miasta. Nowoprzybyłym był dr. Ragner.

Po pierwszych słowach powitania, nie odznaczających się ani zbytnią grzecznością, ani serdecznością, lekarz wszedł do pokoju sypialnego, usiadł obok kominka, na którym spory ogień płonął, zapalił sobie cygaro, wyrzucił kilka kłębów dymu szarego, a rozparłszy się wygodnie w miękim fotelu i założywszy nogę na nogę, spojrzał na gospodarza.

— Coś mi źle wyglądasz? — przemówił po niemiecku.

— Jestem chory jak jeszcze nigdy — odpowiedział Czudek tym samym językiem.

Dr. Ragner był żydem, a chociaż po polsku mówił wcale poprawnie i ilekroć wymagała tego potrzeba, nazywał się Polakiem żydowskiego wyznania, mimo to, gdy się znalazł między swymi lub w gronie poufnych przyjaciół, używał najchętniej języka niemieckiego. On do Polski przyznawał się z interesu — do Niemiec z sympatji. Wiedeń był tym rajem, o którym wiecznie marzył i gdzie na starość radby był spożywać *panem bene merentium.* Pod tym względem dr. Ragner był podobnym prawie do wszystkich swoich współwyznawców, mieszkających w Galicji. Wyjątek między nimi stanowią jednostki, które atoli giną w tłumie żydów przewrotnych.

— A morfina nie pomogła? — lekarz znowu zapytał.

— Prawie nic.

— To źle.

Nastąpiła chwila milczenia. Wreszcie gospodarz przemówił:

— Czekałem z wielką niecierpliwością... cóż tam słychać?

— Nic nadzwyczajnego... Pan Rossowski kocha się jak dawniej w pannie Wandzie, panna Wanda w nim, dzięki czemu będziemy mieli wkrótce młode małżeństwo. A nie da się zaprzeczyć, piękna z nich para, bardzo piękna!

Czudek przygryzł usta do krwi i pięść gniewnie zacisnął.

— Wiesz jak mnie to irytuje — rzekł — a ciągle mi jedno powtarzasz.

— Jakże nie mam powtarzać, kiedy codzień pytasz mnie co słychać. Przecie nie stworzę nowin, gdy ich nie ma.

— A co tam stary Czarkowski? — adwokat zapytał.

— Aha, prawda! na śmierć o nim zapomniałem — odpowiedział lekarz, popiół z cygara otrząsając. — Z Czarkowskim źle, nawet bardzo źle... umierający!

— Umierający?! — zawołał Czudek i aż na krześle podskoczył.

Ragner spojrzał mu bystro w oczy, zdziwienie udając.

— Cóż w tem nadzwyczajnego? — zapytał.

— Bo przecież mówiłeś mi przed kilku dniami, że mu się znacznie polepszyło. Przypuszczałeś nawet, że wkrótce tak mu się polepszy, iż będzie mógł wstać z łóżka.

— Prawda, że przypuszczałem — odrzekł lekarz — ale cóżem ja winien, że nie jestem wszechmogącym i wszechwiedzącym. Zresztą choroby jak jego, nie można nigdy dokładnie obliczyć. Dziś zdrów, jutro na katafalku.

— Jeżeli tak — gospodarz zauważył — to może mylisz się i teraz.

— Teraz wiem, że się nie mylę — odparł Ragner spokojnie i poważnie. — Tym razem mam już oznaki, które mi mówią, że stary dziwak pociągnie najdłużej czterdzieści ośm godzin.

Adwokat powstał szybko, zaczął biegać po pokoju i trzeć czoło, poczem mówił.

— Dam szyję, że go zrobi swoim spadkobiercą uniwersalnym i tym sposobem ułatwi mu małżeństwo. Będą więc mieli pieniądze i jeszcze bardziej, niż dotychczas, będą sobie ze mnie drwili.

— Pewnie — wtrącił lekarz, niby przypadkiem i od niechcenia.

— Ja sam wiem najlepiej, że tak będzie — mówił dalej Czudek, coraz szybciej chodząc — i to mnie właśnie do rozpaczy doprowadza. Kupca mogłem był zniszczyć, bogatemu kapitaliście nic a nic nie zrobię.

— I ja jestem tego samego zdania — przerwał znowu Ragner.

— Jeżeli zdanie moje podzielasz — zawołał gospodarz, zatrzymując się przed przyjacielem — to poradź mi co rozumnego.

— Myśl sam — odrzucił lekarz obojętnie.

— Myśl! jakby tu łatwo było co rozumnego wymyśleć... Ręczę, że Czarkowski ma przeszło sto tysięcy w gotówce, którą zawsze trzyma pod poduszką, prócz skryptów dłużnych, domu i zbiorów, które także coś warte. Jakem poczciw, ten człowiek będzie panem całą gębą. Ja tego chyba nie przeżyję!

Znowu milczenie zapanowało.

— Jabym sądził — przemówił doktor brwi marszcząc — że trzeba by tak pokierować, abyś i ty z rozpaczy nie umarł i Rossowski nie został bogatym.

Gospodarz aż oddech wstrzymał, tak mu się te słowa podobały, lecz Ragner jak na złość urwał i nic więcej nie powiedział.

— Dobrze, dobrze! — zawołał Czudek głosem podrażnionym — ale powiedz jak to zrobić.

— Myśl sam.

Tego było za wiele, dla człowieka, który po kilka razy dziennie potrzebował uciekać się do morfiny, by żyć i ruszać się jak człowiek. Rozgniewany, usiadł więc na boku i odwrócił się od przyjaciela. Lekarz badał go z ukosa okiem przenikliwem, szatańskiem, w którem malowała się cała jego dusza. Nie był on lepszym od Czudka, może nawet gorszym, a tem niebezpieczniejszym, że miał więcej niż on sił fizycznych i moralnych.

— Nie wiadomo ci przypadkiem — lekarz po niejakim czasie przez zęby wycedził — czy stary zrobił kiedy testament?

— O ile mi wiadomo, nigdy. Dawniej gdy był zdrów, nie raz mu wspominałem, że nie zaszkodziłoby, gdyby zrobił testament, ale on mi wtedy odpowiadał, że na to czas jeszcze. Odkąd zaś rozchorował się na dobre, nie wiedziałem, jak mówić o testamencie.

— A w jakim celu mówiłeś mu o nim przedtem? — spytał lekarz, szydersko się uśmiechając. — Czy chciałeś przysłużyć się Juljanowi.

— No, tak — bełkotał adwokat. — Chociaż przyznam ci się, że sam liczyłem także na jego wdzięczność.

— Na jego wdzięczność?

— Spodziewam się! Alboż byłbym długie godziny nudził się z tym dziwakiem i uczył się po nocach wierszy łacińskich i greckich, gdybym był nie miał nadziei, że za to choć w przyszłości coś mi się okroi? Przecie za tak naiwnego, bym się poświęcał gratis, dla jego pięknych oczu, nie możesz mnie uważać.

— Przeciwnie — odparł Ragner — ja ciebie uważam za bardzo praktycznego i roztropnego, i tylko to jedno martwi mnie w tobie, że dążąc do jakiegoś celu, nie umiesz iść odważnie naprzód!

Przymówka lekarza podrażniła adwokata.

— Nie umiem iść odważnie! — zawołał. — Ciekawym, kto w chwili stanowczej z nas dwóch potrafił by być odważniejszym.

— Zaraz to zobaczymy — Ragner odpowiedział, a poprawiwszy się na fotelu, tak mówił dalej: — Czarkowski nie zrobił więc testamentu, bo skoro nie zrobił go wtedy, gdy był zdrów, a o czem ty, jako jego prawny doradca, musiał byś to był wiedzieć, to nie zrobił go i teraz, odkąd jest chory, bo za to ja znowu ręczę. Zdaje mi się jednak, że nie źle by było, gdyby się znalazł testament.

— A to na co? — spytał adwokat.

— Aby nam było lepiej, a tym gorzej, których ty słusznie nienawidzisz.

Czudek porwał się z krzesła.

— Wszak to kryminał! długoletni kryminał! — zawołał głosem przytłumionym i pełen trwogi w koło się oglądnął.

— Czyż prawdy nie powiedziałem, mówiąc przed chwilą, że nie masz odwagi? — zapytał lekarz z drwiącym uśmiechem.

— Odwaga to rzecz inna, — adwokat zawołał — a inna kryminał!

— Nie przeczę, chociaż z drugiej strony wiem i to także, że są ludzie, którzy nie boją się kryminału. Kryminał mój kochany, dla głupców, nie dla rozumnych. Jako żyd wiem najlepiej, że niemało oszustw, niegodziwości, kradzieży i rozbojów dopuszczają się moi szanowni współwyznawcy, a mimo to, jak rzadko z nich który siedzi w kryminale! A dla czego nie siedzą? bo mają rozum, a co jeszcze ważniejsze: pieniądze! Miejmy więc i my rozum i z nim pieniądze, a ręczę ci, że sam djabeł, nic nam nie zrobi.

Czudkowi zaczęły się te uwagi bardzo podobać.

— Może masz i słuszność — rzekł gryząc paznokcie. — Gdybyśmy mieli pieniądze, ale dobre pieniądze, to może w rzeczy samej nic by nam nie zrobili. Od czegoż jam adwokat, a ty żyd!

— Takim to mi się podobasz! — zauważył doktor — a skorośmy się w zasadzie już porozumieli, nie wątpię, że w szczegółach także się porozumiemy. Przedewszystkiem mamy o tem pamiętać, że powinniśmy mieć pieniądze i oto mój plan. Ale, ale — dodał, rozglądając się dokoła — popatrz, czy gdzie kto nie podsłuchuje, bo wasze przysłowie mówi: że nawet ściany mają uszy.

Adwokat wzruszył ramionami.

— U mnie, jak w grobie — odpowiedział. — Kancelarja zamknięta, a służącemu, spodziewając się ciebie na dłuższą rozmowę, pozwoliłem pójść do teatru. Żeby cię jednak całkiem uspokoić, wszędzie jeszcze zaglądnę. (C. d. n.)

ŻÓŁTA RÓŻA.

NOWELLA Z FRANCUZKIEGO PRZEZ HALINĘ.

(Dok.) Ten wykrzyknik, pełen naiwności dziecięcej, wcale się nie podobał zdradzieckiemu przyjacielowi. Słodziutką atoli minką, pokrył niezadowolenie i mówił dalej z udanem współczuciem.

— Najdroższa pani, podziel ze mną twoje smutki, jeżeli masz jakie. Komuż otworzysz twoje serce, jeżeli nie wiernemu, wypróbowanemu przyjacielowi, który cię kocha tak bezinteresownie. Byłbym niepocieszony, gdybyś dla tego nie raczyła wierzyć, w moje dla ciebie uczucie, że nie śmiałem dotąd zdradzić przed tobą całej jego potęgi. Nie wstrzymuj więc łez twoich, zostaw mi przynajmniej smutną pociechę, że je mogę z tobą podzielić.

— Poczciwy mój przyjacielu — odpowiedziała Melanja, nie mogąc już zatrzymać potoku słów, które groziły jej sercu rozsadzeniem, jak para rozsadza kocioł za nadto pełny — miałeś mnie za szczęśliwą... niestety! jest wcale inaczej. Znasz mój charakter, wiesz, że mimo wad mnogich, mam serce dobre i że okazawszy mi trochę przywiązania, można wszystko ze mną zrobić. On tego nie chciał zrozumieć... Nie kocha mnie! mówię ci! Widzisz pan, niegdyś, kiedy to ty miałeś zostać moim mężem, byłam nieraz złą, popędliwą, sprzeczałam się z tobą, tyś mi także dokuczał, ale to wszystko nie zostawiało goryczy w mojem sercu. Wyłajałam pana, wykłóciłam się porządnie i śmiałam się potem zaraz, bom pana nie kochała, więc wszystko co mi od pana przychodziło, złe czy dobre... było mi obojętne. Ale jego kocham do szaleństwa! O! jestem bardzo, bardzo nieszczęśilwą!

Teissier pomyślał sobie, że rola powiernika, jest częstokroć kolcami najeżoną, pytał jednak dalej, usta z gniewu do krwi zagryzając.

— Bardzo więc źle się z panią obchodzi?

— Źle? Gdzietam! Najlepszy dla mnie, ufa mi aż nadto, chce zawsze, czego ja chcę, każde moje życzenie jest niemal spełnione, zanim je objawię, nawet moje kaprysy... Ah! ależ ja już nie mam kaprysów. Ma się je, gdy się jest szczęśliwą!... Jednem słowem, nigdy najmniejszej sprzeczki między nami i ja właściwie skarzyć bym się nie powinna. Kiedyż on to wszystko robi, tak zimno, tak ostrożnie, z takiem wyrachowaniem, jakby li rozumem się kierował, a nigdy uczuciem... powiedz zaś sam panie Hektorze, czy serce jak moje, młode, gorące, może żyć bez wzajemności?

— Nigdy! — Teissier zawołał, oczy do sufitu podniósłszy. — Serce pani potrzebuje miłości... szału...

Melanja przerwała bezładną deklamację.

— Gdybyś pan wiedział, jak mi z początku życie wydało się pięknem, a szczęście niezrównanem! Miłość bezgraniczna, jaką mam dla niego, zmieniła mnie zupełnie. Nie byłbyś mnie poznał, ja sama przestałam wierzyć, że Melanja Dramond, mogła być kiedy Melanją Simart. Mój charakter, tak porywczy i nieugięty, stał się jak wosk miękki, ja, która nigdy nikogo słuchać nie chciałam, gotową jestem wypełnić każde jego skinienie, w oczy mu patrzę, żeby z nich myśli jego zgadywać. Nie uniosłam się od dnia ślubu ani razu, słowo żywsze z ust moich nie wyszło. Powinien mię kochać, nieprawdaż? Pan byłbyś mnie pokochał na jego miejscu?

— Oh! — miał li czas wykrzyknąć powiernik nieszczęśliwy, gdyż Melanja pędziła dalej z gwałtownością rzeki wezbranej, która już na drodze swojej wszelkie tamy pozrywała.

— A on mnie nie kocha! Moja czułość zdaje się go przestraszać; jeżeli wyrażam słowy ognistemi miłość dla niego, więcej jest niespokojny, niżeli szczęśliwy; zamiast podsycać moją egzaltacją, odpowiada zwykle bardzo rozsądnie, bardzo spokojnie, a każde ze słów jego spada na moje serce jak tyleż brył lodowych. Czyżby starał się oziębiać moje dla niego przywiązanie, gdyby umiał wzajemnością na nie odpowiedzieć? Czyż był kiedy taki na świecie wypadek, by ktoś, gdy sam kocha, czuł się za nadto kochanym?

— Więc pani naprawdę myślisz, że ciebie przestał kochać? — powtórzył Teissier, umyślnie kładąc nacisk na te słowa.

— Niestety, jestem tego pewną! — odpowiedziała z nowym łez akompaniamentem. — Chcesz pan jeszcze więcej dowodów? Oto, gdyś nas zaczął odwidzać coraz

częściej... strzeliła mi myśl do głowy, że teraz mam najlepszą sposobność, czytać w sercu Françis'a. Tylko mój drogi panie, nie myśl źle o mnie, i nie gniewaj się za to, co ci powiem... przecież takiemu poczciwemu jak pan przyjacielowi, można się przyznać do wszystkiego... Otóż radość, gdyś pan się pojawiał, uprzedzająca grzeczność, którą ci okazywałam, nawet kokieterja, której sobie w obec pana pozwalałam... wszystko to nie było pod twoim adresem. Dla niego udawałam, kłamałam, choć cała moja uczciwa natura, wzdrygała się przeciw tak niegodnemu oszukiwaniu. Chciałam go ukarać, zaniepokoić, zazdrość w nim wzbudzić. Widzisz pan jak mi się to świetnie udało?! Żeś pan się nie dał w pole wyprowadzić, rzecz całkiem naturalna — przecie wiesz doskonale, żem ciebie nigdy nie kochała, tem bardziej teraz, pokochać cię nie mogłam. — Czyż on powinien jednak być tak spokojnym, tak pewnym swego? Czyż to kobiety nie bywają lekkomyślne, nawet występne? Czyż nie czytam w romansach, że im się zwykle lepiej podoba owoc zakazany, niż mąż własny? Dawniej cię na męża nie chciałam... to prawda, ale on powinien o tem myśleć, żeś ty dla mnie dziś tym owocem zakazanym, że możesz być dla mnie niebezpiecznym. Gdyby mnie kochał, gdyby dbał o mnie, czyż by nie czuwał nad swoim skarbem? czyż by pozwolił, by mu go ktoś inny wydzierał? czyż by nie pamiętał, że bądź jak bądź, byłeś moim narzeczonym, a więc na stopie poufalszej ze mną, niż inni znajomi, czyż by mógł nie uczuć niepokoju, zazdrości? A! jemu to właśnie w głowie! Ot! siedzisz pan tu ze mną sam na sam ze dwie godziny, czy mu to co zawadzi? czy się spyta, co też robimy? O! mój Boże! On mnie nie kocha, nie kocha, a ja ginę z miłości dla niego!

Tym razem pocieszyciel nie próbował wcale koić łkań, które rozrywały piersi młodej kobiety. Jej wyznanie, wypowiedziane z całem naiwnem okrucieństwem dziecka nieopatrznego, zburzyło bez miłosierdzia pałac z kart, który jego rozkochana wyobraźnia, już pod same stropy niebios była wyprowadziła. Strącony z nienacka, z tych wyżyn niebiańskich, na same dno otchłani piekielnych, u bram których napisano: „Tu nie ma nadzieji“, w pierwszej chwili oniemiał i z gniewu wściekłego prawie odszedł od przytomności. Ochłonąwszy cokolwiek z przerażenia, lecz wzmocniony jeszcze w swej nienawiści matem, który otrzymał po raz drugi od Melanji na polu miłości, przerzucił się na ścieżkę bardziej krętą i podstępniejszą, która nie przez miłość, ale za pomocą oszczerstwa do zemsty prowadzi.

— Znam Françis'a od dawna — przemówił wreszcie po głębokim namyśle. — Nigdy nie dostrzegłem w jego charakterze takiej obojętności, tak lodowatego spokoju, który mu pani i słusznie wymawiasz. Przeciwnie, był zawsze ognistym, porywczym, w uczuciach niepohamowanym. Jeżeli istotnie okazuje pani mniej niż przedtem czułości, nie zimne usposobienie jest tu w grze, bo on był zawsze żywym jak siarka.

— Przestałam mu się podobać! — westchnęła ciężko młoda kobieta.

— To być nie może! — zaprotestował grzecznie pan Teissier. — W jednym przypadku byłoby to możebnem, gdyby...

— Gdyby?

Powiernik nie odpowiedział, tylko głowę spuścił, niby bardzo zakłopotany.

— Dokończ pan, na wszystko cię zaklinam! — zawołała pani Dramond.

— Za wielem powiedział — odrzekł rumieniąc się niecny obłudnik. — Zresztą jest to li przypuszczenie... Czyż można jednak uwierzyć, by ktoś mając serce wolne, mógł ciebie pani nie kochać?

— Więc kocha inną! inną! — krzyknęła Melanja przeraźliwie, jak struna w górę się wyprężyła i upadła znowu na kanapę, na wpół omdlała.

Było to przebudzenie lwicy, którego tak bardzo obawiał się Françis.

— Tego przecie nie powiedziałem! — szepnął Teissier, jakby żałował swojej nieostrożności.

— Powiedziałeś! aż nadto wyraźnie powiedziałeś! — syczała Melanja przez zęby kurczowo zaciśnięte, w paroksyzmie szalonej zazdrości. — Teraz mnie chcesz oszukiwać, ale czytam prawdę w twoich oczach. A! więc to tak! kocha inną! zdarta zasłona. Odpowiadaj pan, wiesz wszystko, może nawet byłeś jego powiernikiem? Zabiję tę drugą i siebie zabiję!... Nie, nie! jestem spokojna, zupełnie spokojna. Mów że pan, czy chcesz, abym skonała?!

Za nadto powiedziawszy, by się mógł cofnąć, Hektor zaczął szukać po głowie jakiegobądź sprzeniewierzenia się Françis'a. Życie jego po ślubie było jednak tak czyste, że nawet podły jak on oszczerca, nic mu nie mógł zarzucić. Zaczął szukać jakiego wypadku skandalicznego w jego życiu kawalerskiem. I tu nie wiele znaleźć się dało, bo chociaż Françis nie był świętym, szanował jednak sam siebie i pogardzał sprośną rozpustą, zaczynającą się z kawiarkami, a kończącą się zwykle w szynku. Party bez litości gwałtowną niecierpliwością Melanji, zatrzymał myśl na pierwszem lepszem wspomnieniu, które mu się nawinęło.

— Jest to li przypuszczenie — znowu powtórzył głosem pełnym ubolewania — a w stanie, w jakim panią widzę, nie chciałbym...

— Nic mi nie jest, nie płaczę więcej — odrzekła Melanja drząc cała. — Mów że pan natychmiast!

— Awanturka, o którą niebacznie myślą potrąciłem, wyprzedziła o wiele pani poznanie i z nią zamęście, jest to więc okoliczność łagodząca winę Françis'a i przestaje prawie być dla pani obrazą. Pamiętam dobrze, że mi ją opowiadał dnia pierwszego przed obiadem, przyjechawszy do domu ojca pani jako mój drużba.

— Cóż dalej? — przerwała Melanja w gorączce oczekiwania.

— W zimie, w ostatni wtorek zapustny, spotkał na balu maskowym osobę prześliczną, jeżeli wierzyć portretowi, który nakreślił w swojej egzaltacji.

— Na balu maskowym?

— Tak, w Operze.

— A ta kobieta?... Jej nazwisko?

— Tego on sam wtedy nie wiedział. Oto szczegóły, których mi udzielił. W loży, na trzeciem piętrze, były samotne dwie kobiety. Jedna z nich miała pierścień ze szmaragdem po rękawiczce włożony, druga trzymała w ręku róży gałązkę... róża była niezwykła... w żółtym kolorze.

Melanję znowu w górę rzuciło, jak by stosem galwanicznym i napowrót bez sił upadła na kanapę.

— Nadszedł jakiś przyjaciel Françis'a — prowadził Teissier rzecz dalej — a będąc mocno pijanym, zdarł brutalnie maskę temu domino z żółtą różą i wtedy mąż pani ujrzał twarzyczkę tak cudowną, że nie umiał słów znaleźć, by mi ją opisać.

— Znalazł ją więc przystojną? — wyszeptała młoda kobieta głosem stłumionym.

— Co to przystojną! prześliczną! zachwycającą! czarującą! Tak się w niej zakochał, że nazajutrz pojedynkował się na śmierć z najlepszym przyjacielem za to, że ten ją śmiał obrazić. Istne szaleństwo! bo i któż porządny, powiedz pani sama, pojedynkuje się o honor dawno stracony damy, która bez opieki męzkiej pokazuje się na balu Opery! Dość, że omało nie zabił przyjaciela, a następnie szukał po całym Paryżu Dulcinei nieznajomej, jednak bez skutku... tak mi przynajmniej wtedy opowiadał.

— Znalazł ją piękną... i pokochał od razu... i bił się o nią — łkała młoda kobieta. Musiały to być jednak łzy inne, niż poprzednie, bo twarzyczka jej była tak jasna, tak promienista, jak kiedy w dzień letni, po burzy i chmurach gradowych, nastąpi błoga cisza, a słońce wypłynie znowu na błękit nieba i oświetli widnokrąg całym swoim niezrównanym majestatem.

Raptem porwała Teissier'a za obie ręce, ściskając je konwulsyjnie.

— Gdybyś pan mego życia zażądał, zdaje mi się, że byłabym gotową złożyć ci je w ofierze, a jeszcze nie spłaciłabym ci długu szczęścia, którego w tej chwili doznaję z twojej przyczyny.

Hektor zgłupiał do reszty i cofnął się gwałtownie wraz z fotelem, będąc przekonanym, że Melanja po prostu zmysły straciła.

Nagle drzwi się otworzyły, na progu stanął Françis. Jednym rzutem oka objął sytuację. Pomięszanie i wzruszenie rozmawiających musiało go na wstępie uderzyć. Zachwiał się i zbladł jak ściana. Czy stał się ofiarą własnej nieostrożności?

Ujrzawszy męża, Melanja jednym rzutem była na nogach, a drugim już przy mężu się znalazła, mimo, że z radości omdlewała i że kolana pod nią się uginały. Zarzuciła mu na szyję ramiona, ściskała i całowała prawię do uduszenia.

— Kłamco! oszukańcze! obłudniku! — wyrzucała słowa jak piłki, łkając na piersiach męża — to ty tak umiesz grać komedję? To ty uważasz niżej twojej godności przyznać się, że mnie kochasz? Patrzcie się na tego zimnego Katona, który żonę zbywa samym rozumem, boi się jej pokazać, że ma serce w łonie, a pojedynkuje się o lichą maseczkę. O! ty, ty niegodziwcze! ty mój najdroższy, najmilszy, moje szczęście jedyne!

Na widok Françis'a wchodzącego, Teissier idąc za tradycją wszystkich bohaterów w romansach, porwał skwapliwie za kapelusz, nibyto kochanek na gorącym uczynku przez męża złapany. Wkrótce jednak eksplikacja małżeńska na tak czułą scenę zakroiła, iż jak ów lis w bajce powiedział sobie, że winogrona dla niego tutaj za twarde i za zielone, i wyniósł się cichaczem, by więcej do tego domu nie wrócić. Zniknienie to uszło zupełnie uwadze małżonków, sobą wyłącznie zajętych.

— Opowiadano ci więc o moich szaleństwach? — uśmiechnął się Françis, obejmując toczystą kibić żony i nawzajem czule do serca ją przycisnąwszy.

— Szaleństwa! proszę bardzo! — odparła Melanja ze śliczną minką nadąsaną, usta wydymając. — Wiesz co było szaleństwem? Twój zbytni rozum! Czyż nie będziesz miał na to dość czasu, gdy się oboje postarzejemy. Ale zapowiadam memu panu, że już mnie więcej w pole nie wyprowadzi. Nie jesteś ani zimny, ani poważny, ani taki zbytnie rozsądny. Głowa ci się pali tak łatwo jak i mnie, rozumiesz? Pojedynkujesz się pan o pierwszą lepszą damę z Opery, ślicznie! Oh! gdybym była mężczyzną, była bym się wtedy także na drugi dzień pojedynkowała z tym zuchwalcem. Ale pan tego więcej nie zrobisz, pamiętaj, że ci to pod błogosławieństwem zakazuję. Ten raz muszę darować, bo to było dla mnie niewdzięcznej, która cię posądzałam, że mnie nie kochasz! Ale ty mnie kochasz, nieprawdaż?

— Czyś mogła o tem wątpić?

— A! gdybyś wiedział jaką mi to boleść sprawiało! Nie narażaj mnie więcej na tak ciężkie próby. Dla czego boisz się okazać mi twoją miłość? Czy dla tego, żebym za nadto dumną nie była, iż ten skarb drogocenny stał się moim?

— Nie o to idzie... ależ ty jeszcze tak dziecinna, nieopatrzna, trzeba więc żebym ja był rozsądnym za dwoje, inaczej cóż się z nami stanie?...

— Posłuchaj mnie, taki układ zróbmy: Ty bądź więcej dzieckiem, a ja niem być przestanę. Bądź spokojny... serce moje młode, ale jak chcę, to mam dobrą, starą głowę — tu uderzyła się palcem w czoło, żeby dodać jeszcze wagi słowom swoim. — Więc od razu ci się podobałam? A ja cię nic a nic nie poznałam! bo też byłeś taki śmieszny z tym nosem szkaradnym. To się Hortensja ubawi, gdy jej wszystko opowiemy! I biłeś się dla mnie mój aniele drogi! ale to po raz ostatni, nieprawdaż? Gdybyś ty był ranny, ja bym tego nie przeżyła! A wiesz co? Odkryłam w sobie wielką wadę, jestem o ciebie zazdrośną, ale to zazdrośną do szaleństwa! Bo ja cię kocham, kocham nad życie własne, nad wszystko! Zatkaj bo mi już raz usta ręką i nie daj mi dłużej paplać. Jak zacznę tak bez końca powtarzać, że cię kocham, gotowo mi się doprawdy w głowie przewrócić.

Françis upojony, przycisnął do serca cudną istotę, dla której to serce całym światem było, i zamknął jej usta... nie ręką jednakże... lecz długim... bardzo długim pocałunkiem.

KONIEC.

Nawrócony.

(C. d.) Za chwilę przyszła służąca prosić do herbaty. Przeszliśmy do ślicznego, niewielkiego, stołowego pokoju, którego wygodne urządzenie, prawie mnie boleśnie dotknęło. Pomyślałem o mojem zimnem i niewygodnem mieszkaniu, i uczułem coś podobnego do zazdrości, względem szczęśliwego posiadacza, tego miłego domku. Nadewszystko całe to gniazdko młodej pary, wydawało mi się jakimś poetycznym blaskiem opromienione, którego przyczynę napróżno starałem się zbadać... Byłoż to roztropne urządzenie, które najpospolitszym nawet przedmiotom pewien nadaje urok i w nieokreślony sposób ożywia swem tchnieniem martwe nawet sprzęty?... Czy też cicha władza pani domu, która z ujmującą uprzejmością grała rolę gospodyni i ową bez pretensji, pół dziecięcą a w pół światłą rozmową, krasiła skromne przyjęcie? Niewiem tego! to tylko pewna, że od dawna już nie było mi tak błogo na sercu jak teraz, przy wesoło szumiącym samowarze Czerwonej Julji.

Około dziewiątej przeszliśmy znowu do saloniku. Rudolf prosił żonę, by zaśpiewała jaką włoską canzonette. Zarumieniła się z lekka, jednakże bez wszelkich wzdragań zasiadła do fortepianu, i zaczęła śpiewać pełnym, kontraltowym głosem, zachwycające Addio Biondina. Rudolf słuchał ją ze skupieniem ducha, o jakie nie byłbym go posądzał. Gdy skończyła, rzucił na mnie prawie tryumfujące wejrzenie.

— Nieprawdaż, ślicznie? — powiedział po chwili. — Możnaby przysiądz, że tę pieśń usłyszała na miejscu i nauczyła się z ust ludu. Znakomicie naśladuje dykcję włoską...

— Zdawało mi się, że jestem na brzegach Sornento. Czy pani nigdy nie była we Włoszech?

— Nigdy — odparła wstrząsając głową.

— Skoro tylko się oswobodzę, zawiozę cię tam! Musisz poznać ojczyznę twoich ulubionych poetów! Cóż mówisz na to?

— O! prawdopodobnie nie nastąpi to jeszcze prędko! — podjęła z przyjaźnym uśmiechem — pomyśl wiele masz przed sobą pracy!

— Ech! za pięć lub sześć tygodni wszystko się wykończy! Człowiek potrzebuje od czasu do czasu wypoczynku... pozostaje przy tem! W jesieni jedziemy do Włoch. A teraz zaśpiewaj nam jeszcze co niemieckiego. Nie cierpię w ogólności czułych trelów, ale u ciebie jest coś głębszego i świeższego w głosie, aniżeli u innych kobiet...

— O! ja potrafię być sentymentalną — odrzekła Julja przerzucając nuty.

— Zaczynam być ciekawym! Jak dotąd, poznałem cię tylko z wesołej strony.

Jakiś smętny akord wskazał teraz początek porywającej kompozycji Szuberta: „Przybywam z gór“.

Słyszałem już tę cudowną pieśń, śpiewaną z większą artystyczną siłą i bogatszym głosem, ale nigdy z taką prawdą i uczuciem nie była oddaną... Czuć było całą gwałtowną boleść osamotnionego serca, w tych cudownie brzmiących tonach. Gdy doszła do miejsca: „Obcym jestem wszędzie“... zadrzałem i mimowolnie przyszedł mi na myśl własny jej los, wspomniałem na jej męża bez serca, który dziś jeszcze plótł mi o swojej namiętności dla Edyty, o przyszłości, która tę występną grę odkryje i wtrąci nieszczęsną w przepaść rozpaczy...

Ale cóż to było takiego? Czyż Rudolf nie był teraz podobniejszym do zachwyconego kochanka, aniżeli do lekkomyślnego zdrajcy? Czyż nie wydawał się głęboko wzruszonym? Istotnie, patrząc teraz na niego można było sądzić, że z tych ust nie wysunęło się nigdy szydercze słowo lub sceptyczne bluźnierstwo... A teraz podniósł się poważny, uroczysty, milczący, zbliżył się do Julji, która właśnie skończyła i pocałował ją w czoło!...

Sądziłem, że marzę. Rudolf tymczasem nie zostawił mi wiele czasu do rozmyślania. Za chwilę odzyskał już swój dawny żartobliwy ton.

— Czyż nie jest artystką? — zapytał rzucając się w swój kołyszący fotel i sięgając po napełnioną szklankę. — Jeżeli nam kiedy wszystko niedopisze Juljo, wstąpisz do opery.

Zdobyłem się na kilka pospolitych komplementów dla młodej kobiety. Cały ten wieczór byłem tak roztargniony, zamyślony, w takiej niezgodzie z samym sobą, że młodzi małżonkowie sami musieli ponosić koszta rozmowy. Całą też noc brzmiała mi w uszach melodja „Wędrowca“ Szuberta i pełen uczucia głos Czerwonej Julji.

Co owego wieczoru jasnem się stało dla mego proroczego wzroku, spełniło się prędzej, aniżeli oczekiwałem. Zniewolony szlachetnością Julji, prostotą jej charakteru, zapominał Rudolf coraz bardziej o nieczystem źródle, z którego mu to niezasłużone szczęście wytrysnęło i związek, który prosta lekkomyślność skojarzyła, stał się nierozerwanem ogniwem, łączącem dwa serca i dusze. W czerwcu zaczął Rudolf swój sławny później romans: Czarne natury.

Odkąd go znałem, nigdy nie można go było nakłonić, by wtajemniczył kogo do swoich autorskich zamiarów. Zawsze zimny, wystarczający sobie, zamykał w swej piersi cały plan i dalsze jego rozwinięcie, aż praca istotnie była ukończoną. Teraz jego odpychająca chytrość naraz zdawała się być złamaną. Julja przypuszczona została do rozlicznych tajemnic literackich, każdy nowy pomysł odkrywał przed nią z zaufaniem, a ona z wielką zręcznością umiała spożytkować to udzielające się usposobienie, by zuchwały polot myśli, od przesady uchronić. Stopniowo zamieniła się tu kontrola w istotne współpracownictwo. Rudolf nie raz miał sposobność zdumiewać się nad uderzającą nowością jej zapatrywań, podziwiał naiwną jasność jej sądu, bogactwo fantazji, głęboką powagę jej światłego umysłu.

Podziwienie jego doszło do entuzjazmu, gdy się przekonał, że te literackie zdolności, nigdy i nigdzie obowiązkom gospodyni domu nie stawały na przeszkodzie; przeciwnie, w domowym zakątku rozpościerały wszędzie uszczęśliwiający charakter. Julja umiała poruszać całą machinę gospodarstwa domowego z misterną akuratnością, nie dając przytem słyszeć nieznośnego zgrzytu porusza-

jących się kół. Nigdy nie zdradziła owego gwałtownego pospiechu, który zamiast domowy spokój podnosić, dla nerwowych natur ma przeciwnie coś męczącego. Nigdy nie upadała pod ciężarem swych różnorodnych zajęć, jak nasze poczciwe, małomiasteczkowe gosposie, które zasługi swoje zdają się chcieć podwajać, wystawiając na widok ponoszone trudy. Podobna była do owej silnej karjatydy, na czole której fryz całego domu spoczywa, nie mogąc nawet karku jej przygiąć.

Dość, że nim trzy miesiące upłynęły, Julja stała się nieodzowną istotą temu niegdyś tak płochemu sceptykowi i każde wspomnienie, co do istotnego celu jego ożenienia, zdawało się być na wieki pogrzebionem.

W końcu czerwca wybierałem się w podróż do Berlina i Kopenhagi. Miałem jeszcze godzinę czasu do odejścia pociągu i siedziałem w rogu sofy, zajęty przeglądaniem rozkładu jazdy, gdy Rudolf jak zwykle niemeldowany we drzwiach się ukazał.

— Dobrze, że cię jeszcze zastaję — powiedział. — Potrzebuję nowelli Eberhardta. „De profundis.“ W czytelni nie można jej dostać.

— Jest na twoje usługi — odparłem.

— Jak długo myślisz zabawić? — zapytał niedbale, gdy mu podawałem książkę.

— Dwa tygodnie, trzy lub cztery, jak mi wypadnie.

— O godny zazdrości człowieku! Ja w tym roku nie będę mógł się ruszyć.

— Czyż nie mieszkasz tu jak na wsi? W kwandrans czasu możesz być wśród zieloności.

— Masz słuszność. Nasza tęsknota za letnią willegiaturą wypływa po większej części z tradycji, ale wziąwszy na rozum, można się odzwyczaić od tego rodzaju niedorzeczności, a ogólne dobro zyskuje na tem.

— Mówisz jak prawdziwy mędrzec — podjąłem żartobliwie.

— Ja też w ostatnich miesiącach stałem się o wiele mędrszym — odparł z szczególniejszym naciskiem.

Spojrzałem mu w oczy. Była w nich istotnie powaga.

— No! prawdę mówiąc, był już czas potemu...

— Jakto?

— Twoje zapatrywanie na świat zaczynało się stawać za... zanadto genialne.

— Jesteś złośliwy.

— Wcale nie.

— Wy uczeni znajdujecie w najniewinniejszym nawet żarcie coś zdradliwego. Tkwi w was jeszcze staro-chrześciański ascetyzm.

— Prawdziwie wyglądam w twoich oczach tak, jakbym chciał pozować na świętego. Nie są to poetyczne sofizmata, mój drogi. Czy wiesz, że w czasie tych ostatnich miesięcy, nie jedną smutną godzinę mi zgotowałeś?

— Mówisz tak, jak gdybyś się czuł odpowiedzialnym za moje winy! — roześmiał się Rudolf.

— Prawie, że tak! Nieraz już czułem się twoim współwinowajcą... dzięki niebu, że się znowu tak wszystko nadspodziewanie pomyślnie ułożyło!

— Tak nadspodziewanie pomyślnie? Nie rozumiem cię.

— Ech, mówmy o czem innem! Teraz gdy jesteś szczęśliwym, nie miało by żadnego celu, przypominać ci o rzeczach...

— Sądzę istotnie, że uroiłeś sobie... że brałeś wszystko za dobrą monetę...

— Jak ty umiesz udawać!

— Nie, nie, ja nie udaję... Przyznaję że wtedy... ja... ale ty wziąłeś rzecz tę zanadto serjo...

— Tak sądzisz? Zdaje mi się, że zupełnie tak serjo, jak ty ją brałeś.

— Cóż ja tak strasznego powiedziałem? Któżby tam tak każde słowo ważył.

— Powtarzam ci, że przykro mi jest teraz, kiedy się wszystko na dobre obróciło, gdy ją kochasz prawdziwie...

— Podobała mi się od początku więcej, jak jej siostra.

Wzruszyłem ramionami.

— To jest, może to zanadto jest powiedziane, podobała się... ale... pewna sympatja... — wybąkał.

— Zasługiwałbyś w istocie, abym ci pokazał psychologiczny szkic, który nakreśliłem wieczorem po twoich zwierzeniach, pod Następcą tronu.

— Co, szkic psychologiczny? studja nad charakterem? Zaciekawiasz mnie!

— Wątpię, aby czytanie moich notatek było ci bardzo przyjemnem. Nie oszczędzałem cię...

— Ach! kartka z dziennika! jakież to romansowe!

— Przedstawiłeś mi się owego wieczora tak wyjątkowym, tak fenomenalnym w swojej lekkomyślności, że przelałem na papier naszą rozmowę.

— Pokaż... muszę się dowiedzieć koniecznie, w jaki sposób uchwyciłeś to chwilowe usposobienie, by je rozdąć do rozmiarów urzędowego protokólu.

Jego upór zniecierpliwił mnie, otworzyłem biórko, wyjąłem zeszyt z notatkami i uroczystym głosem przeczytałem mu niektóre najświetniejsze ustępy.

— Do pioruna! — powiedział — to mnie zajmuje, po mistrzowsku mnie malujesz!

— Fotografuję z natury — przemówiłem.

— Ale z silnym retuszem. Jednakże mniejsza o to; ja znoszę prawdę, nawet pod osłoną poezji. Czytaj dalej!

Spojrzałem na zegarek.

— Zapominasz mój drogi, że jestem na wyjezdnem. Właśnie zajeżdża dorożka.

— To daj mi tę drobnostkę; zaręczam, że odbierzesz nieuszkodzoną...

— To być nie może, proszę cię.

— Dlaczego nie? Notatki twojej greckiej literatury, nie są przecież tajemnicą?

Przelotne przejrzenie przekonało mnie, że zeszyt istotnie nie mieścił w sobie nic, coby moją odmowę usprawiedliwiać mogło.

— Niech i tak będzie — powiedziałem zamykając biórko i podając mu pamiętniki jego szaleństwa — rozważ jednakże, że to naszkicowanie nie było przeznaczone dla oczu czytelnika, a najmniej dla ciebie.

— Dobrze, dobrze, wiem już — odpowiedział z niecierpliwością — teraz myśl tylko o tem, aby się nie spóźnić.

Zeszliśmy razem ze schodów. On życzył mi szczęśliwej podróży, ja zleciłem mu serdeczne ukłony dla jego

małżonki i w dziesięć minut później byłem na dworcu.

W Berlinie zabawiłem tylko dwa dni, spiesząc przez Hamburg i Szlezwig do duńskiej stolicy, gdzie miałem obejrzeć niektóre ważne rękopisma w królewskiej bibliotece. Po trzech tygodniach wysilającej pracy, zrobiłem wycieczkę dla wytchnienia do sąsiedniego szwedzkiego wybrzeża i następnie wróciłem przez Isztad i Swinemünde do niemieckiej stolicy, gdzie miałem nadzieję spotkania się ze sławnym kolegą z uniwersytetu dorpackiego. Zamiast jednakże jego, zastałem dwa niespodziewane listy. Jeden donosił mi, że profesorowi Korneliusowi choroba stanęła na przeszkodzie stawić się na umówioną schadzkę; drugi był od Rudolfa i brzmiał jak następuje:

„Właściwie jest to nierozsądkiem z mojej strony, że piszę do ciebie, bo przecież pomódz nic mi nie możesz, a w końcu przyjdziesz mi może jeszcze z uwagami pełnemi namaszczenia o mściwej Nemezys i sprawiedliwości Boskiej, a w gruncie rzeczy ty przecież jesteś temu wszystkiemu winien, ja zaś nie mam nikogo, przedkim mógłbym się użalić. Daj mi przynajmniej dobrą radę, w jaki sposób na to się zapatrujesz i czy uważasz to za możebne, by odbudować znowu mój byt zgruchotany. Mamże zawezwać pomocy władzy, by odszukać miejsce jej pobytu, czy też lepiej unikać wszelkiego skandalu i poddać się losowi, o ile to jest możebnem."

„Niemasz jej! Julja moja serdeczna, wdzięczna Julja i jedynie ukochana, opuściła mnie bez pożegnania i Bóg sam tylko wie, co czynić zamierza. Może w tej chwili, gdy piszę te wiersze, ona już nie żyje, a ja ją zamordowałem! Lecz nie, ona była za dumną, za szlachetną... Nie byłaby zdolną do zemsty tak małodusznej, bo to byłoby zemstą straszliwą, sądem karzącym za winę, która przez niczem niezmierzoną miłość dawno już została odpokutowaną i zgładzoną."

„Widzę, że zaledwie zdolnym jestem myśli zebrać. Krótko i węzłowato, Julja czytała twoje notatki! Jak i gdzie znalazła ten złowrogi dowód, niemam o tem żadnego pojęcia. Gdy około piątej po południu wróciłem z biura redakcji, zniknęła już. Dziennik położyła na mojem biurku, obok tego leżał zapieczętowany list, który każe mi się wszystkiego obawiać. O ja znam ją! gdy raz powzięła postanowienie, które wydaje jej się usprawiedliwionem przez rozum i obowiązek, to nie da się niczem w świecie zachwiać; z żelazną konsekwencją dąży do swego celu. A jednakże ona musi powrócić albo ja oszaleję! Teraz dopiero czuję, co za skarb w niej posiadałem! Brak mi jej przy każdem odetchnieniu, śmierć dla mnie! gdybym musiał ją stracić! Najukochańszy, najlepszy i najdroższy przyjacielu! błagam cię, donieś mi choć w dwóch wierszach co sądzisz, czy jest to naprawdę jej nieodwołalne postanowienie. Nie mogę jeszcze tej strasznej myśli pojąć.

„Aż do tej chwili żadna ludzka dusza nie wie o zniknięciu Julji. W ostatecznym razie wymyślę stosowne kłamstwo. Zatem najściślejsze milczenie."

„Daj Boże, aby się jeszcze wszystko naprawiło. Ja straciłem całą odwagę do życia, wszelaką nadzieję. Proszę o zwrot bileciku Julji. *Rudolf*".

Kartka, przyłączona do tego listu, zawierała następujące ołówkiem nakreślone wyrazy:

„Wszystko, wszystko zburzone, wszystko pogrzebane, wszystko zniweczone! Unieszczęśliwiłeś mnie nieskończenie, ale przebaczam ci. Bądź zdrów i szczęśliwy. Nigdy mnie nie zobaczysz. Edyty nie mogę ani ostrzedz, ani objaśnić, ale Bóg i jej miłość dla męża ją uspokoją. *Julja.*"

(C. d. n.)

RÓŻNOŚCI ZE ŚWIATA.

Pożar w Królikarni. Dnia 13 b. m. w nocy zgorzał w Królikarni pod Warszawą, słynny pałac z czasów panowania Stanisława Augusta II.

Twierdzą, że ogień powstał skutkiem zatlenia się belki przy próbie nowych kaloryferów.

Płomienie ukazały się w lewym narożniku tylnej części pałacu — na pierwszem piętrze, wkrótce zaś buchnęły i z okien parteru.

Pierwsze spostrzegły ogień właścicielka Królikarni, pani Pusłowska i jej córka, które spały w tej właśnie stronie pałacu.

Rozbudzono natychmiast służbę... Wzięto się do ratunku, który przy zamięszaniu nie mógł być skutecznym.

Ponieważ bowiem płomienie wybuchły na górze, nie dawano wiary, że dół pałacu także spłonąć może.

A tam właśnie znajdowały się rzeczy najszacowniejsze, rzymskie kominy z *rosso antico*, bronzy starożytne, które pan P. właśnie przed kilku miesiącami do Królikarni kazał przywieźć; szacowny zbiór starych rycin, pomiędzy któremi rzymskie i wiele oryginalnych Falka, biblioteka z nader kosztownemi, rzadkiemi wydaniami klasyków, w starych oprawach po paręset rs. wartujących, obrazy, a pomiędzy niemi kilka Orłowskiego etc. etc.

Płomienie tymczasem coraz szerszym wiankiem otaczały pałac. Wynoszono meble i obrazy, wyrzucano książki z biblioteki i różne zabytki.

Można było wiele wyratować, ale nie wiedziano co. Wynoszono nowsze meble nie wielkiej wartości, a stare spłonęły. Toż samo z książkami i rycinami.

Służba pałacowa działała przy pomocy dwóch ogrodowych sikawek.

Wody zresztą nie brakło, czerpano ją bowiem najpierw ze studni, następnie zaś z obszernych sadzawek poniżej tarasu położonych.

Spłonęła część znaczna mebli dawniejszej epoki, po Tomatysie pozostałych.

Widziano także walające się około pałacu na pół zwęglone karty z cennych dzieł architektury i malarstwa.

Księgi wyratowane, mniejszej wartości niestety, złożono w suterenach. Obrazy wszystkie prawie spłonęły.

Zdołano uratować tylko 13 obrazów zawieszonych w jadalni, pozostałe zaś, znajdujące się w dwóch pokojach, padły ofiarą płomieni.

Przy tych tak ogromnych stratach jedną tylko pocieszającą możemy donieść wiadomość.

W Królikarni znajdował się szacowny zbiór rękopismów, głównie ze Stanisławowskiej epoki.

Były tam pomiędzy innemi oryginalne listy króla Stanisława, oraz wielu znakomitych osób, mających wpływ na ówczesne sprawy krajowe.

Wszystkie te rękopisma właściciel Królikarni, kilka miesięcy temu, podarował był akademji krakowskiej i tym sposobem uniknęły one zatraty.

Do najbardziej dotkliwych strat policzyć trzeba: kominy rzymskie, oraz starożytne bronzy i meble.

Wyratowano tylko jedną szafę gdańską.

Królikarnia godna jest uwagi jako miejscowość historyczna. Za książąt mazowieckich było tutaj wójtostwo mokotowskie, a następnie królowie August II i August III wybrali sobie to miejsce na hodowlę królików, których polowaniem i łowieniem lubiono się wówczas bawić. Ztąd właśnie miano „Królikarni“.

Odsłonięcie pomnika Adolfa Thiers'a w Nancy. — Dnia 4. sierpnia b. r. rozwinęło się w cichem Nancy gwarne życie. Na domach rozwieszano wieńce i wstęgi kwieciste, mieszczono symboliczne emblematy, pragnąc pełnemu znaczenia dniu temu nadać jak najokazalszą postać.

Niebawem ozwały się dźwięki trąb.

Zewsząd poczęły spieszyć na oznaczone punkta deputacje towarzystw gimnastycznych z wiejącemi sztandarami; można było pomiędzy niemi dojrzeć małe chłopięta, ale wszyscy mieli chassepoty na plecach i bagnety przy boku. Wszyscy ciągnęli ku cyrkowi, wielkiej, do areny podobnej, sali gimnastycznej.

W krótce poczęły się napełniać różnobarwnemi tłumami ulice, a wszystko tłoczyło się ku placowi kolejowemu, w którego środku wznosi się pomnik Thiers'a.

Godzina odsłonięcia zbliżała się. U stóp pomnika ustawiły się deputacje; naprzeciw niego rozbito trybuny wyścielone czerwonym aksamitem i bogato złotem obramowane.

Pani Thiers z panną Dosne, które przybyły w czarnych, żałobnych sukniach, zajęły miejsca honorowe; gdy uroczystość zaczęła się, obie powstały z miejsca i stojąc, towarzyszyły ceremonji.

Naprzód odbyła się defilada wszystkich deputacyj i korporacyj, które u stóp pomnika składały wieńce. Następnie cztery młode, biało ubrane dziewczęta wręczyły pani Thiers'owej wspaniały bukiet kwiatów.

Na falisto zwieszonej wstędze z białego atłasu, lśniły wyhaftowane złotem wyrazy: „Dla pani Thiers, pamiątka od sierot ostatniej wojny“.

Z pomiędzy przeciągających grup witano grzmiącemi oklaskami szczególnie politechników, młodzież z Metz i młode dziewczęta w lotaryngskich kostjumach. Te ostatnie w imieniu Alzacji i Lotaryngji złożyły wieniec nieśmiertelników z długą, żałobną wstęgą.

Charakterystyczną stronę pochodu stanowiła grupa straganiarek. Z rozpuszczonemi na wiatr włosami, z szarfami trójkolorowemi przez plecy, w czapkach frygijskich, butnie na głowie osadzonych, paradowały one dumnie i zamaszyście. Zdawało ci się, że patrzysz na te furje z czasów wielkiej rewolucji, które z dzikim wyciem i wrzaskiem biegły za powozami skazańców, wiedzionych pod gilotynę na placu Zgody.

Pierwszy zabrał głos prezes komitetu Noblot, wychodźca z Metzu, ażeby oddać pomnik miastu Nancy.

Po odpowiedzi mera p. Bernard, opadły na dany znak osłony...

Gdy posąg Thiers'a odkrył swoje oblicze, zerwały się zewsząd olbrzymie fale głosów, entuzjastycznym okrzykiem na cześć jego. Wszystkie kapele wojskowe zagrały: „Marsyljankę“, w której ogniste tony wplatały się nieustanne wołania: „Niech żyje Thiers! Niech żyje Rzeczpospolita!“

Pani Thiers była głęboko wzruszoną i z rozczulenia płakała.

Teraz nastąpiły popisy oratorskie.

Mówili: Martel, Lepére, Juljusz Simon.

Na końcu wystąpił na trybunę członek akademji Ernest Legouvé, aby w namaszczonych wyrazach uwielbić zasługi Thiers'a; niezbyt zręcznem tylko było pomieszczenie byłego prezydenta Francji na jednej linji obok — Cavoura i Bismarcka.

Wieczorem odbył się w ratuszu wielki bankiet, który przy stołach biesiadniczych połączył ministrów, dziennikarzy, senatorów, deputowanych, studentów, mieszczan...

Przy deserze zabierali głos kolejno Le Roger, Lepére, Bernard i prefekt Demels, wznosząc odpowiednie toasty.

Na placu Leszczyńskiego przed ratuszem, gdzie wieczorem zgromadziło się przeszło 20,000 widzów, zapalono czarodziejskie ognie sztuczne.

Premjowana nagroda cnoty. W zeszłą środę Akademia paryska odbyła walne doroczne zgromadzenie, celem rozdania stałych swych premij. O literackich odznaczeniach, przyznanych różnym autorom, mało tym razem da się powiedzieć; tem ciekawszem było sprawozdanie dyrektora Akademii, p. Juliusza Simona z owych wybitnych faktów miłości bliźniego, które przedstawione zostały do uwieńczenia tak zwaną nagrodą cnoty, fundowaną przez Montyona. Liczne i świetne zebranie, które było obecne uroczystości w Mazarin, zostało do łez wzruszone, kiedy p. Simon opowiedział historję życia niejakiej panny Leontyny Nicolle, która z miłości dziecięcej całą swoją młodość, całe swoje życie, zagrzebała niejako w zakładzie obłąkanych.

Panna Nicolle, otrzymawszy jak najlepsze wychowanie i wykształcenie, przed 30 niespełna laty postanowiła ubiegać się o miejsce poddozorczyni w zakładzie Salpetrière, który jak wiadomo, jest schroniskiem obłąkanych w Paryżu. Z niecierpliwością oczekiwała na opróżnienie takiego podrzędnego, z najuciążliwszemi obowiązkami połączonego miejsca; w końcu otrzymała je i z prawdziwą radością rozpoczęła życie, w porównaniu z którem, pobyt w klasztorze wydać się może rajem prawdziwym. Co prawda, za tem heroicznem wyrzeczeniem się świata ukrywała się tajemnica: matka panny Leontyny Nicolle cierpiała na umyśle, nieszczęśliwa uważała się za prześladowaną przez wszystkich. Córka jej, przekonawszy się o niemożności należytego pielęgnowania chorej w domu, postarała się o przyjęcie jej do zakładu Salpetrière. Od tej chwili jedyną jej myślą, jedynem staraniem było, otaczać nieszczęśliwą matkę najczulszą opieką w zupełnem odosobnieniu od ludzi.

Rzecz prosta, że zarząd zakładu nic przeciwko temu mieć nie mógł. Panna Nicolle przytem spełniała jak najsumienniej swe obowiązki dozorczyni, także w obec innych chorych zakładu, powierzonych jej opiece, znosząc swe prawdziwe męczeństwo z anielską prawdziwie cierpliwością i łagodnością. Przez 27 lat umiała się poświęcać w ten sposób, gdyż dopiero przed rokiem nieszczęśliwa pani Nicolle zakończyła życie na rękach swojej córki, której w ostatnich latach już nawet nie poznawała i której bezprzykładnego poświęcenia nie mogła nawet ocenić.

Oto właśnie lat 28 jak panna Leontyna Nicolle objęła smutny swój obowiązek w Salpetrière, którego i teraz nawet po śmierci swej matki porzucać nie myśli. W ciągu tego długiego szeregu lat przeszło pięćset cierpiących na umyśle kobiet, które zostawały pod opieką panny Nicolle zostało uleczonych i opuściło zakład, błogosławiąc zapewne nieraz na łonie rodziny tej, która wyrzekła się wszelkiego szczęścia dla miłości matki i bliźniego.

Akademia przyznała pannie Leontynie Nicolle jednomyślnie nagrodę Montyona.

Laski. Według wszechwładnej mody paryskiej, panie muszą teraz *volens nolens* używać lasek.

Sprytni fabrykanci silą się na ich coraz to dowcipniejsze kształty.

Co też jeszcze nosić będą kobiety?

Myśli te i owe.

Wybacz istocie, która ci nadepcze na nogę, albowiem skutek będzie ten sam, chociażbyś jej i nie wybaczył.

„Wielki świat“ najczęściej z „małych istot“ się składa.

Ktoś powiedział, że sól jest substancją psującą potrawę, jeśli do niej nie jest wsypaną.

Kobietę trzeba nienawidzieć, ażeby jej nie kochać; gardzić nią, ażeby się za nią nie modlić; rozkazywać jej, aby się nie stać jej niewolnikiem.

Świat jest wielką duszą, tak samo jak każda dusza jest całym światem.

Grzeczność, to powietrzem wypełniona poduszka; nie ma w niej nic, a jednak łagodzi ona gorycze życia.

W drukarni narodowej W. Manieckiego przy ulicy Grodzickich l. 4.